



MEDIUM

Napisał: Janusz Siwek

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Swoją opowieść zaczął Jacek Lindner niewinną refleksją natury teoretyczno-literackiej. Ścisłej mówiąc była to refleksja nad literaturą dla dzieci. Przysiadłem się do jego stolika nieśmiało, tłumacząc tłokiem panującym na sali. Zamówiłem smażoną rybę z frytkami, a Lindner korzystając z obecności kelnera poprosił o „to samo”. To znaczy bynajmniej nie o rybę z frytkami. Zamówił to

samo, co stało przed nim zanim jeszcze zjawiłem się w restauracji i co zamawiać musiał już kilkakrotnie.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu. Udawałem całkowicie zaabsorbowanego posiłkiem, lecz czułem, że reżyser przygląda mi się uporczywie. Moja twarz musiała wydawać mu się znajoma. Próbował pewnie przypomnieć sobie kiedy i gdzie mogliśmy się

poznać. Nie sądzę by mu się to udało. Byłbym nawet zdziwiony gdyby tak było. Za to ja pamiętałem go doskonale.

Kiedy uporałem się wreszcie ze swoją kolacją, Lindner milcząco wskazał mnie kelnerowi. Po chwili znalazł się przede mną kieliszek jarzębiaku. I wtedy Lindner zaczął swoją opowieść.

– Sądzę – nie ja pierwszy zresztą – powiedział – że w każdym podaniu, legendzie lub bajce tkwi zawsze trochę prawdy. Zdziwiająco, jak wiele jest baśni o czarach, różnych „stoliczkach nakryj się”, latających dywanach, trzech życzeniach, duchach... Tak różnie z pozorów wierzenia, mnie udało się znaleźć dla nich jeden wspólny mianownik. We wszystkich tych niewiarygodnych historiach spotykamy się, zauważ pan, z jednym elementem wspólnym. Każde zdumiewające zjawisko, każde odkształcenie rzeczywistości, jest spełnieniem świadomych lub podświadomych życzeń. Jest w gruncie rzeczy realizacją oczekiwania...

– Doszedłem do wniosku, że skoro moje oczekiwania nie spełniają się, być może... być może mam jakieś inne, specjalne właściwości...

Ogólnie wiadomo, że Jacek Lindner ma pecha. Ci, którzy kręcili z nim jego pierwszy film, dawno porobili kariery: jedni zdobywali nagrody za swe własne filmy, drudzy zerwali z kinematografią sięgając po sukcesy gdzie indziej. Jedyne Lindner pozostał sobą: pechowym reżyserem, któremu los zawsze rzucał pod nogi kłody nie do przebycia.

Pierwszy samodzielny film Lindnera zapowiadał się rewelacyjnie. Kiedy zupełnie gotowy czekał na kolaudację, w pomieszczeniu, gdzie zamknięto oryginalne taśmy, wybuchł pożar. Taśmy nie były już celuloidowe, toteż pożar szybko ugaszono. Okazało się, że kompletnemu zniszczeniu uległ tylko jeden film – Jacka Lindnera. Następny – widowisko historyczne z czasów Juliusza Cezara – nigdy nie ujrzał prawdziwego

ekranu z powodu wypadku samochodowego odtwórcy głównej roli. Z wypadku „Cezar” wyszedł ze zdrowiem i życiem, ale z bardzo wyraźnym nerwowym tikiem lewego policzka. Nie nakręcono kilku kluczowych scen, aktor grający boskiego Juliusza za żadne skarby nie chciał się zgodzić na dublera i Lindner zaryzykował. Dokręcił brakujące ujęcia starając się, by kamera filmowała Cezara tylko z prawego profilu. Filmowi zarzucono monotonię formy, reżysera nie odsądzono co prawda od czci i wiary, ale film poszedł we fragmentach w telewizyjnym programie dla szkół – jako ilustracja lekcji historii.

Lindner nie załamał się. Próbował jeszcze trzykrotnie – za każdym razem z podobnym, niezawinionym rezultatem. Producenci powoli zaczęli go unikać, za to jak ognia unikali go aktorzy.

Wtedy właśnie wydarzyła mu się ta najbardziej zwariowana historia filmowa o jakiej słyszałem. Jacek Lindner kończył właśnie kręcić swój siódmy film – adaptację Hamleta dla pewnej prowincjonalnej wytwórni telewizyjnej, w której zaczynałem pracę jako pomocnik rekwizytora...

★ ★ ★

– To już ostatnia kaseta? Czy pan oszalał? – krzyknął reżyser tak gromko, że wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

– Zostało jeszcze tylko to jedno ujęcie, panie Jacku – próbował z godnością odpowiedzieć drugi reżyser, ale ze zdenerwowania zaczynał się po każdym słowie.

– Ostatnie metry taśmy na najważniejszą scenę! – Lindner złapał się za głowę. Pod palcami pociekła wyciśnięta z włosów strużka wody i zniknęła za kołnierzem koszuli. – I jeszcze ten deszcz! Oszaleję! Przecież ten film to moje być albo nie być. Dostaliśmy wszystkie zapasy taśmy francuskich kamer. Czy sądzi pan, że pojedę teraz do Paryża po nowe kasety?

Pytanie zwrócone do drugiego reżysera pozostało bez odpowiedzi. Ekipa stała ociekając wodą, z ponuro zwieszonymi głowami. Na wschodzie przetoczył się daleki grzmot. Ciężkie kłęby burzowych chmur przewalały się nad murami i basztami zamczyska. Deszcz bębnił jednostajnie o szyby zaparkowanych w pobliżu samochodów.

Do reżysera zbliżył się operator.

– Jeżeli wszystko zgramy: oświetlenie, aktorów, rekwizyty i kamerę, to taśma powinna akurat wystarczyć. Ja ze swej strony będę robił wszystko... – położył rękę na ramieniu odwróconego plecami Lindnera. – Mamy po prostu pecha, panie Jacku. Za dużo taśmy wyszło na poprzednie zdjęcia.

Operatora poparł drugi reżyser:

– Zróbmy chwilę przerwy. Omówimy dokładnie całe ujęcie. Opracujemy precyzyjnie każdy szczegół. Nieraz znajdowałem się w gorszej opresji – powiedział pocieszająco.

– Na pewno się nie uda. I co ja zrobię z niedokończonym filmem? Już o dwa tygodnie przekroczyliśmy termin. Nie mówiąc o kosztach... – reżyser odwrócił się ukazując twarz, na której nie rysował się nawet cień nadziei. – Przecież nie zmontujemy Hamleta bez sceny z duchem! Zresztą, niech będzie – potrząsnął głową widząc, że czekają na jego decyzję. – Zarządźcie panowie przerwę.

W autobusie było ciepło i przytulnie. Strugi deszczu za oknami ograniczały widoczność niemal do zera. Rekwizytor postarał się o gorącą herbatę, którą wszyscy popijali kolejno z niewielu szklanek. Zbliżał się wieczór. Na zamkowym podwórku zapadały powoli ciemności, od czasu do czasu rozjaśniane upiornym blaskiem błyskawic.

– Co za sceneria! W sam raz dla ciebie – mruknął aktor grający Hamleta do aktora grającego Ducha. Obydwaj popatrzyli do przodu, gdzie na siedzeniu obok kierowcy spoczywał reżyser.

– Cały miesiąc graliśmy scenę mojej śmierci, a ciebie chcą załatwić w jeden dzień – powiedział znowu Hamlet do Ducha.

– Zastanawiam się, co ja tu właściwie robię – zaszczała ze złością Ofelia.

– Proszę państwa, proszę o spokój! – ze swego miejsca podniósł się operator i powiódł wzrokiem po skulonych postaciach. – Od chwili wyjścia z samochodu oczekuję od państwa maksymalnej koncentracji. Każdy musi znać swoje miejsce i bezbłędnie wykonać, co do niego należy. Od tego zależy los całego filmu, a co za tym idzie... nasze honoraria, nagrody... nie muszę zresztą mówić. Orientujecie się doskonale, że nikt z nas nie zobaczy złamanego szeląga, jeśli ta scena nam nie wyjdzie.

– Panie reżyserze! Niech pan wydaje dyspozycje! – krzyknął operator i usiadł.

Jacek Lindner – najbardziej pechowy z reżyserów – podniósł się ciężko i spojrział błędnie po zgromadzonych.

– Niewiele mam do dodania – oznajmił tonem zdolnym posiać zwątpienie w sercu każdego słuchacza. – Moja rola właściwie się skończyła. Wszystko zależy teraz od was. Kiedy rano tu przyjechaliliśmy, drżałem przez cały czas, że coś się stanie. Wydawało mi się niemożliwe, bym skończył film bez żadnej katastrofy. Na waszych twarzach widziałem tę samą obawę. Teraz sytuacja jest niemal beznadziejna. W wytwórni postawiono mi ultimatum. Albo skończymy dzisiaj zdjęcia, albo cofają nam cały fundusz nagrodowy. Jak wspomniał pan Piotr i tak przekroczyliśmy limity.

Każdy kto zna tajniki pracy w filmie wie, że jest to praca ciężka, często niewdzięczna i... wcale nie tak dobrze płatna. Jeżeli pomimo to uważa się zajęcie przy kręceniu filmów za dość intratne, wynika to z istnienia funduszu nagród, wypłacanych po zrealizowaniu filmu. Toteż wiadomość o bardzo realnej możliwości utraty tego funduszu, podzielała

na wszystkich jak zimny prysznic. W ekipę wstąpił nowy duch. Aktorzy od razu chcieli biec na plan. Elektrycy przestali nagle winić deszcz o uniemożliwienie im pracy. Nie zważając na burzę zaczęli instalować dodatkowe reflektory.

Wkrótce plan jarzył się światłami. Asystentka reżysera po raz któryś z rzędu przypominała aktorom ustawienie i szczegóły roli.

– Duch wychodzi w momencie, gdy kamera robi najazd na tamten fragment murów. Postawimy obok pana dyżurnego planu z radiotelefonem. Na mój znak ruszy pan do przodu licząc do dziesięciu. Na „dziesięć” Duch powinien znajdować się akurat w tym miejscu – tłumaczył drugi reżyser aktorowi grającemu rolę Ducha. – Z dołu nie będziemy pana widzieli, dopóki nie pojawi się pan w załomie murów. Dlatego musi pan starannie wyliczyć moment swojego ukazania się.

Aktor kiwał głową. Przejęty dyżurny planu stał obok trzymając w ręku walkie-talkie.

– Jak tam u was? – krzyknął drugi reżyser na dół, gdzie przy reflektorach i kamerze gorączkowo krzątała się reszta ekipy.

Jacek Lindner spojrzał na mury i rozłożył ręce. On jeden w całym tym gronie nadal nie wierzył w powodzenie próby. Bo jakże mogła powieść się jemu, który nawet mając zapięte wszystko na ostatni guzik powtarzał ujęcie po dziesięciokroć i wciąż bezskutecznie?

Ostatni zakończyli pracę charakterystatorzy. Nadchodziła pełna napięcia chwila. Za moment miała ruszyć kamera.

– Uwaga dyżurny. Schowaj się z Duchem za załom muru. Idźcie trochę głębiej, aby Duch zdążył doliczyć do dziesięciu. Jak mnie słyszysz?

– Słyszę dobrze. Idziemy kawałek wzdłuż murów – odparł w mikrofon dyżurny planu.

– Uwaga! Za moment kręcimy! Cisza na planie! – krzyknął drugi reżyser. – Duch niech już rusza.

Aktor uczynił krok do przodu, potem drugi i nagle zachwiał się, zamachał rękami i zniknął. Dyżurny stracił głowę. W trwającym sekundę blasku błyskawicy zobaczył, że w miejscu, gdzie zniknął aktor znajduje się ciemna wyrwa w caliźnie ceglanego muru.

– Noga! – usłyszał. Głos dochodził z bardzo bliska. – Nie mogę oswobodzić nogi! Włazła w coś i trzyma... Hej! Dyżurny, pomóż mi... – zdanie przerwał odgłos szamotania.

Zdrętwiały dyżurny planu widział bielejącą w ciemności, ucharakteryzowaną obrzydliwie głowę aktora. Wyciągnął ręce i próbował pomóc Duchowi wydostać się na powierzchnię. Przez zawodzenie wichury i szum deszczu słyszał głosy dochodzące z leżącego obok walkie-talkie. Przerażony uświadomił sobie, że tam na dole niczego jeszcze nie wiedzą.

– Kamera gotowa – to okrzyk szwenkiera.

– Poszła! – odpowiedź operatora.

A zaraz potem suchy trzask i głos klapserki:

– Hamlet 298.

Kamera była w ruchu. W tym momencie błyskawica bardziej oslepiająca niż inne przecięła niebo. Grzmot wstrząsnął starożytnymi murami.

„Światło! Piorun spali bezpieczniki” – pomyślał dyżurny szykując się do skoku w dziurę, z której dobiegały nieartykułowane okrzyki uwięzionego aktora. Zacisnął zęby i dał susa w ciemność pod sobą. Jego nogi wylądowały na czymś miękkim. Duch krzyknął przestraszony.

– To tylko ja – powiedział uspokajająco dyżurny. Beznadziejność sytuacji dodała im sił. Wydobyli się z wyrwy i rzucili w stronę gdzie powinni już być od paru minut. W ciemności zderzyli się z impetem, splątali i runęli na cegły. Naraz usłyszeli wrzask reżysera:

– Tak! Kręć! Kamera. Trzymać ujęcie!

Dyżurny zupełnie zbaraniały podniósł głowę. Widmowa, ale silna poświata rozjaśniała załom murów. Jakiś olbrzymi cień, cień kogoś w luźno powiewających szatach kładł się wielką plamą na ścianach zamku.

„Niemożliwe” – pomyślał dyżurny ze zdumieniem – „przecież piorun musiał spalić przewody. Całe oświetlenie jest pewnie do kitu. I Duch jest tutaj”.

Nieprzenikniona płachta ciemności nie przerwała jego zdumienia.

Kiedy ostrożnie, po omacku schodzili ze schodów, dotarł do nich gwar zmieszanych głosów. Na otwartej przestrzeni poprzez strugi deszczu zobaczyli niepojętą scenę.

W pobliżu oświetlonych samochodów stała cała ekipa wykrzykując coś i żywo gestykulując. Już z bliska widać było rozradowane twarze. Pośrodku stał oszołomiony, ale uśmiechnięty Jacek Lindner i niezadarnym gestem ocierał wodę (a może pot) z czoła.

– Koniec, panie Jacku. Nareszcie koniec. Cudowne ujęcie... – mówił drugi reżyser.

Duch i dyżurny zbliżali się nic nie rozumiejąc.

– Gratulujemy! Wspaniale pan zagrał kolego, naprawdę doskonale... – posypały się zewsząd pochwały.

Reżyser Lindner doszedł wreszcie do siebie.

– Jak pan to zrobił, panie Andrzeju – zapytał słabo się uśmiechając do kierownika oświetlenia – Skąd pan wziął to wspaniałe światło? Nic nie rozumiem, ale jestem szczęśliwy.

Pan Andrzej wzruszył ramionami.

– Ja też nic nie rozumiem. Dałbym głowę... – powiedział wreszcie. Wstrząsnął się rozpryskując wokół kropelki wody, jak pies po wyjściu z kąpieli.

Nie kończąc zdania podjął reżysera za ramię i zaprowadził do głównego przewodu. Unosił się tam nie zduszony deszczem

czem swąd spalonej izolacji. Kilku oświetlaczy pochylało się nad tablicą rozdzielczą szepcząc coś do siebie.

– Dałbym głowę, że te przewody zostały spalone przez wyładowanie dokładnie w momencie rozpoczęcia ujęcia – powiedział. Jeden z techników chwycił w rękę niewielki reflektor, zwany powszechnie „szczeniaczkiem”. Otworzył go i spojrzał po zebranych.

– Spalona – mruknął.

Potem jakby sam sobie nie wierząc podbiegł do stojącej najbliżej „czwórki”. Odkręcił szybko i zajrzał do środka. Tu też żarówka była przepalona. Także następna. I dalsze. Wszystkie żarówki zniszczyło uderzenie pioruna.

Obok aktora grającego rolę Ducha przeszedł pogwizdując operator.

– Chwileczkę! Panie Piotrze! – zawołał aktor i zbliżył się do operatora.

– Co to jest? – zapytał niedowierzająco.

– To jest taśma z twoim ujęciem – odparł wesoło operator – Jutro rannym samolotem poleci do Warszawy, do laboratorium – a pojutrze przejrzymy ją sobie w studio...

★ ★ ★

– I co? Co z tą taśmą? – spytałem bardziej przejęty niżli to chciałem okazać.

Lindner skinął na kelnera. Ten zbliżył się do nas i wskazał ręką opustoszały lokal.

– Panowie wybaczą – powiedział – ale nie mogę przyjąć już zamówień. Za moment zamykamy.

Sięgnąłem po portfel, lecz Jacek uprzedził mój gest.

– Ja płacę – rzekł tonem trochę bełkotliwym, choć nie znoszącym sprzeciwu.

Na ulicy siał drobny deszcz. Reżyser rozglądał się za taksówką. Chłodne powietrze wyraźnie go orzeźwiło. Jego

gawędziarski nastrój zdawał się ułatwiać.

– Ciągłe leje - mruknął patrząc na mnie z nagłą podejrzliwością. Pragnąłem wydobyć z niego za wszelką cenę dalszy ciąg opowiadania.

W tym celu należało go nieco sprowokować! Roześmiałem się głośno.

– Ma pan wspaniałą fantazję. Szczególnie po kilku głębszych. Można by sądzić, że to wszystko zdarzyło się naprawdę!

Osiągnąłem swój cel. Lindner szedł lekko się zataczając. W jego oczach zauważyłem błysk zaciętrzewienia.

– Taśma zniknęła. Wyleciała z Warszawy i nie dotarła do biura kierownictwa produkcji. Nikt nie może powiedzieć co się z nią stało.

– Chce pan powiedzieć, że w zniknięciu kasety z taśmą brały udział jakies... nieczyste siły? – w moim głosie brzmiało takie niedowierzanie, że Lindner aż zwolnił kroku.

– To coś zupełnie innego – sprzeciwił się – W moim przypadku wchodzi raczej w grę emanacja czyjejs zbiorowej woli. Pragnienie osiągnięcia czegoś.

Postawił kołnierz i znów rozejrzał się za taksówką. O tej porze nie było ich na lekarstwo w całym mieście.

– Myślałem dużo o tej sprawie. O swoim pechu – powiedział po chwili – Czy wiesz, dlaczego w starożytności przywiązywano taką wagę do fatum? Otóż ja to wiem! Sądzę, że kiedyś człowiek łatwiej niż dzisiaj stawał się niewolnikiem losu, który sam sobie zgotował. Wystarczyło, że uruchomił pewien ciąg i zaczynał wyzwać przeznaczenie. Czy chciał, czy nie chciał kierowany był przez jakies siły, którym nie mógł się przeciwstawić.

– Więc co z tego wynika? – zapytałem bez przekonania – I co z naszą wolną wolą?

– Sądzę, że istnieje pewien typ ludzi o specjalnych właściwościach. Najbliżej ten typ określa medium...

– Co? – nie rozumiałem.

– Medium. Ktoś będący jakby... katalizatorem przy wywoływaniu duchów. Przyszło mi to do głowy, gdy myślałem o scenie z duchem z mojego Hamleta. Osobowość medialna sama nie tylko, że nie potrafi wywoływać duchów, ale jest nawet zdecydowanym antytalentem w tym zakresie. Bardzo chciałem, aby ostatecznie ujęcie się udało. Wtedy aktorowi grającemu rolę Ducha wydarzył się wypadek. W chwilę później piorun spalił instalację elektryczną. Gdy to się stało odwróciłem się przekonany, że ujęcie zostało stracone. Lecz mojego przekonania nie podzielała reszta ekipy... – zatrzymał się i ścisnął moją rękę. – Być może słyszałeś, że wszyscy aktorzy, operatorzy, nawet asystenci, którzy przeszli przez moje filmy zdobywają sobie coraz szerszą sławę? Czy nie nasuwa ci się pewna analogia?

– Nie – przyznałem rozbijając.

Jacek nachylił się, niemal dotykając twarzą moją twarz.

– Myślę, że sam jestem takim medium – wyszeptał – I to medium bardzo silnie oddziaływającym. Tak silnie, że nie tylko sam nie potrafię na cokolwiek wpłynąć, ale nawet osiągam efekty dokładnie odwrotne. Niewykluczone, że jestem przez nich prześladowany. Może boją się moich właściwości? Tylko, że teraz znalazłem klucz. Odtąd wszystko co zrobię będzie mi się udawało. Nadal mi nie wierzysz? – zapytał odsuwając się na długość ramienia. Widząc, że uśmiecham się trochę sceptycznie, trochę z rozbawieniem, powiedział rozniewany:

– Chcesz, to ci udowodnię! Proszę bardzo – rozejrzał się wokół – Ja sam nie mogę wyrażać żadnych życzeń, ale nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby zjawiała się tu jakaś taksówka. Proszę! Zażyj sobie...

– Przecież mówiłeś, że jest potrzebna ta... zbiorowa emanacja? – przypomniałem sobie, bo nie miałem ochoty robić

z siebie błazna. Przymuszony jego natarczywością mruknąłem w końcu niechętnie:

– Dobrze by było, gdyby zjawiała się jakaś taksówka.

Z najbliższej przecznicy wyjechał cicho fiat z oświetlonym napisem „Taxi”. Reżyser też nawet nie drgnął, tylko spoglądał na mnie triumfująco. A taksówka zatrzymała się przed nami.

– Siadaj – zaprosił mnie do środka – Dokąd jedziemy?

Podaliśmy adres mieszkania, gdzie od tygodnia wynajmowałem pokój.

– Tam przecież mieszka kierownik literacki wytwórni – zdziwił się Jacek.

– Poznałem Stefana przez przyjaciół. Będę mieszkał u niego dopóki nie znajdę czegoś innego – odpowiedziałem. Jechaliśmy trochę okrężną drogą. Reżyser rozparty na siedzeniu obok rozgadał się na dobre.

– Może masz jeszcze jakieś inne życzenia? – pytał chętnie – Nie krępuj się, powiedz głośno. Teraz mi chyba wierzysz? Wierzysz, że nie bujam?

Milczałem a Jacek gestykułując przysunął się do mnie tak blisko, że poczułem jakiś twardy, kanciasty przedmiot w bocznej kieszeni jego marynarki.

– Wsiądę z tobą – zaproponował, gdy stanęliśmy przed ukrytym w ogrodzie domem – Mieszkam w pobliżu.

Patrząc za odjeżdżającą w deszcz taksówką wpadł na nowy pomysł.

– Jeśli chcesz potwierdzenia, wyraż życzenie by taksówka zniknęła!

I taksówka zniknęła. To znaczy chyba zniknęła. Być może była to tylko awaria świateł. Bo samochód był już dosyć daleko. Widzieliśmy wyraźnie światła pozycyjne i wcinającą się w ciemność smugę reflektorów, która nagle zlała się z ciemnością. Taksówka nie mogła skręcić, widziałbym to przecież. Zresztą nie było tam żadnego zakrętu.

– Ciągłe nie jesteś przekonany? Może chcesz jeszcze założyć się o...: powiedzmy tysiąc złotych, że ten człowiek, który

zbliży się w naszą stronę... hm... na przykład stanie na rękach?

Tym razem nie byłby to już nawet nadzwyczajny zbieg okoliczności.

– Trzymam – powiedziałem i dodałem idiotycznie – Stań na rękach!

Mężczyzna był nie dalej jak dwa-dzieścia kroków przed nami. Zatrzymał się, a potem stanął na rękach!

Stał tak przez chwilę, groteskowy, surrealistyczny obraz ze zwariowanego snu, opadł wreszcie na nogi i za chwilę minął nas z takim wyrazem twarzy, jak gdyby zrobił wyjątkowo dobry dowcip.

– Jest zachwycony – mruknął reżyser – Spróbuj zapytać go dlaczego stanął na głowie, wieczorem, na zabłoconym chodniku, wobec dwóch przygodnych świadków, a powie, że nagle przyszło mu to do głowy kiedy nas zobaczył.

– Skąd wiesz co powie?

– Nieważne. Czekam na wypłatę – widać było, że alkohol zaczął znowu robić swoje. Jacek zatoczył się i wyciągnął rękę.

– Mam przy sobie tylko pięćset złotych. Ale jutro przyniosę ci resztę. Pożyczę od Stefana.

– W porządku – Reżyser schował banknot do kieszeni marynarki. Spojrzał na mnie z ukosa.

Kiedy się wreszcie rozstaliśmy uświadomiłem sobie jak mało brakowało bym dał się oszukać. Pchnąłem furtkę i idąc przez ogród w stronę oświetlonej willi zastanawiałem się nad kolejnością działania. Stefan jeszcze nie śpi. Najpierw przeprowadzę z nim małą rozmowę. Potem meldunek. A dalej potoczy się już normalną koleją.

★

– Pięć stów? Tylko? Może chcesz więcej? Nie krępuj się stary. W końcu jesteśmy kolegami po fachu – Stefan w starych dżinsach i rozdeptanych pantoflach wyglądał jak uosobienie domowego ciepła. Śmiał się jowialnie. Cieszyłem się jego sympatią, bo polecili mnie jego wyjątkowo wpływowi znajomi. Nie mu-

sze dodawać, że byli to moi bardzo do-
brzy znajomi.

– Potrzebuję tylko tyle. Mam dług
honorowy. Przegrałem zakład z reżyse-
rem Lindnerem.

– Z tym pechowcem? A o cóż się zało-
żyliście?

– Opowiedział mi nieprawdopodob-
ną historyjkę. Było tam coś o duchach,
mediach, o jego nadzwyczajnych, oso-
bistych właściwościach. Opowiadał tak
sugestywnie, że mało brakowało, a był-
bym uwierzył, że reżyser Jacek Lindner
jest wyjątkowo silnym medium. Potem
zabrał mnie na ulicę i kazał wypowie-
dzieć trzy życzenia. Właściwie to on je
wypowiedział – byłem pod takim wra-
żeniem, że dałem w siebie wszystko
wtłoczyć jak baran. Przedtem jednak
założył się o tysiąc złotych.

– I co? – zainteresował się Stefan – Co
to były za życzenia?

– Najpierw, ponieważ lało, zażyczy-
liśmy sobie taksówki. To znaczy ja zaży-
czyłem, a Lindner pełnił rolę medium...

Stefan nie wytrzymał i parsknął
śmiechem.

– Potem jeszcze kolejno chciałem
zniknięcia taksówki i wypowiedziałem
życzenie, by facet idący ulicą stanął na
rękach.

– Stanął na rękach? – zdziwił się
Stefan.

– Czy za tysiąc złotych nie oplaca się
wejść w spółkę z taksówkarzem i namó-
wić go by w pewnym momencie gasił
światła? A także wynając jakiegoś chło-
paka do stawania na głowie? Tym bar-
dziej, że pewnie nie jestem pierwszym
i ostatnim, którego nabrał na tę histo-
ryjkę.

– No, jutro pogadam w pracy ze zna-
jomymi – mruknął Stefan – Nie pójdzie
mu tak łatwo ze znalezieniem nastę-
pnych naiwnych.

– Facet zawsze miał pecha. Nic dziw-
nego, że wymyślił sobie tę bajeczkę o so-
bie jako o medium – powiedziałem wy-
chodząc.

Pozostała do załatwienia jeszcze jed-
na sprawa.

W swym pokoiku na górze, prosto
spod drzwi ruszyłem do kąta między
szafą a lustrem. Przyłożyłem do ściany
małeńki, połyskliwy sześcian. Ze skryt-
ki wysunął się nadajnik.

– Proszę o pomoc – powiedziałem –
Sprawa uwięzienia w polu emanacji
bioneuromatycznej pilota QRLX. Ko-
nieczna dalsza akcja dezorientująca.
Uwaga! Medium posiada wysoki sto-
pień orientacji w swoich możliwościach.
Podaję przyjętą przeze mnie taktykę po-
stępowania dezorientującego...

Kiedy meldunek został wysłany, wy-
łączyłem uciążliwą aparaturę fautom-
terializującą. Dla ludzkich oczu stałem
się teraz niewidzialny. O ile oczywiście
nie było w pobliżu żadnego medium.
I o ile w jego obecności nikt nie chciał
mnie zobaczyć.

„Jak niewiele brakowało, by Lindner
poczynił nam niewyobrażalne szkody –
pomyślałem z ulgą – Daremne okazały
się nadzieje, że ciągle aranżowane przez
nas przypadki zniechęcą go wreszcie.
Teraz potrzebne jest energiczne działa-
nie. Bo Jacek Lindner wiedział, co było
na taśmie! On jeden widział nas w na-
szych prawdziwych postaciach, jeżeli
wyświetlił taśmę. W każdym razie nie
wyświetli jej po raz drugi .

Dosyć mieliśmy kłopotów ze sprawą
Adamskiego”.

Środkową czułką chwytną wydoby-
łem z otorbii podmienioną w taksówce
kasetę. Wcisnąłem ją w urządzenie od-
tworzące. Na ekranie pojawił się za-
mazany, ale wystarczająco wyraźny ob-
raz. Pilot QRLX stał szamocząc się
w niewidocznej sieci promieniowania
bioneuromatycznego. W zamyśleniu
spoglądałem na wijące się macki, na
długie czułki i spirale anten przekaźni-
kowych u nasady targonu.

„Jak długo jeszcze – myślałem – jak
długo jeszcze pozostaniemy dla nich
niewidzialni?”